NAD POZIOMY

ROK V. LUTY 1936 r. Nr. 5.

Miesięcznik szkół średnich w Chrzanowie i Oświęcimiu.

„Młodości,
ty nad poziomy wylatuj“

A. Mickiewicz.

CENA 25 gr.

NAD POZIOMY

ROK V. LUTY 1936 r. Nr. 5.

Miesięcznik szkół średnich w Chrzanowie i Oświęcimiu.

Administr. : **Stan. Prokop.** Redaktor Odpow **Prof. Dr. Z. Krawczyński.** Redaktor Nacz. **Stan Janikowski**

Z „BALU PRASY“



Fot. E. Krysztoforski.

Dnia 8-go lutego b r. staraniem Redakcji odbyła się zabawa w auli Państw. Gimn. im. St. Staszica w Chrzanowie, którą obok P. T. Dyrektorki Pryw. Gimn. Żeńskiego i Dyrektora Państw. Gimn., Grona Profesorskiego i Rodziców, raczyli zaszczycić swą obecnością W. P. Starosta powiatowy Dr. M. Łęcki, oraz burmistrz miasta, poseł na sejm. Rzplitej prof. Tad. Gdula.

Na Gromniczną.

Dzień M B. Gromnicznej to wielkie święto. W tym roku wypadło ono w niedzielę, więc powinniśmy je tem uroczyściej obchodzić. W dniu tym wszyscy spieszą do kościoła z gromnicami, by je poświęcić i wraz z święconym ogniem przynieść do domu błogosławieństwo.

W niewielkiej chatce, stojącej w szczerem polu, pochylonej już wiekiem, o maleńkich, zamarzniętych okienkach, mieszkał mały Staś z Matką. Staś także wybierał się do kościoła, lecz nie miał swoich butów. Lecz chcąc za wszelką cenę swego dopiąć wziął matki stare, podziurawione, wyścielił je słomą, okrył się wiatrem podszytym spencerkiem i poszedł. Matka nie mogła z nim iść, gdyż już od dłuższego czasu chorowała. Dała mu tylko świeczkę z pachnącego wosku, owiniętą wstążeczką i błogosławieństwo na drogę.

„Pamiętaj, przynieś ogień do domu! Nie zabłądź po drodze“! — dorzuciła, gdy już był w progu. Staś musiał iść do kościoła przez kilka wsi. Długo się biedak tłukł po drodze, ślizgał się czasem po śladach wytartych od sań i spieszył wciąż wytrwale, aby zdążyć na sumę. Z podartych i wykoślawionych butów wystawała słoma, świecąc w blasku słońca, lecz o nie nie dbał, tylko pędził naprzód.

Gdy wychodził już z ostatniej wsi usłyszał sygnaturkę wzywającą na nabożeństwo. Nie było już mowy nawet o tem, żeby Staś się dostał przed wielki ołtarz (jak sobie marzył po drodze), kościół był wypełniony po brzegi. Kruchta też była pełna. Stanął więc biedny na progu, skulony, zmarznięty, nie śmiejąc nawet pchać się do środka. Stojąc tak rozpłakał się biedak, widząc wieśniaków w ciepłych kożuchach, wieśniaczki w chustkach barankowych i parobków w wysokich butach. A on?... zmarznięty, w cieniutkiej odzieży. Wszyscy w kościele mieli, wielkie, grube gromnice, a on... maleńką świeczkę woskową. Gdy podano poświęcony ogień, on bał się zbliżyć z swoją świeczką, tylko łzy perliste posypały się z jego oczu. Gdy tak stał płacząc usłyszał nagle słodki głos: „zapal sobie Stasiu odemnie“.
Była to niewiasta z szczelnie zasłoniętem obliczem, której tam przedtem nie zauważył. Ona miała też małą świeczkę, taką jak on, a płomień jej miał kształt serduszka. Staś ośmielony dobrem słowem odpalił sobie świeczkę i .. o dziwo! jego płomień przybrał także kształt serduszka. Po nabożeństwie, gdy wyszedł z kościoła, owa niewiasta spytała się go gdzie mieszka. „Osłoń gromnicę i chodź zemną Moja droga też tamtędy wiedzie, pójdziemy razem“ Potem pytała się go o sprawy domowe: Matka twa chora? Ty sam robisz w domu wszystko? On dumnie odpowiedział: Ja sam. Robię już jak duży. — Oj! muszę płomyka pilnować. Dalej szli już w milczeniu Staś nie czuł zimna. W ręce miał mały płomyk, który go grzał. Gdy wyszli za las powstała wielka kurzawa śnieżna, ale on jej nie czuł Owa niewiasta otuliła go niebieską chustką i tak doszli pod domek Stasia Tam pobłogosławiła go i rzekła Niech ci ta świeczka przyświeca przez całą drogę życia, i niech cię przyprowadzi do mnie... po śmierci. Przy tych słowach odsłoniła swe oblicze i Staś ujrzał Najświętszą Panienkę. Zanim zdążył upaść na kolana, odeszła w stronę lasu, przyświecając sobie gromnicą.

Z sercem przepełnionem niewymownem szczęściem Staś wpadł do domu i opowiedział matce o tem co zaszło. Matka wiedziała, że Matka Boska schodzi na ziemię w ten dzień i ucieszyła się też niezmiernie, że na jej Stasia spadło to szczęście spotkania jej. Oboje przypadli teraz do okienka i już daleko, pod samym lasem, zobaczyli Matkę Boską, z gromnicą w ręku wchodzącą pomiędzy ośnieżone drzewa. Równocześnie w lesie zaroiło się od małych ogników, które żwawo poruszały się, biegnąc do M. Boskiej. To wilki przybiegły oświetlić blaskiem swych ślepi, drogę M. Boskiej.

Ta . . k!

Złote myśli.

I cóż świętszego nad domowe cnoty,
Nad tę tradycję żywą, starożytną?
Cóż jaśniejszego, nad ów szczerozłoty
Wesoły uśmiech, którym twarze kwitną?
I nad tę cichą zacnych serc zażyłość,
Co niesie szczęście—niosąc w sobie miłość?

A. Asnyk.

Wieczór zimowy.

Na horyzoncie słońce jeszcze czerwienieje —
Kopuły nieba ciemny granat ponad nami,
Zbudził się wiatr wieczorny i leciuchno wieje
Cicha pieśń nad sennemi unosząc polami.

Powietrze mrozem szkliste drga, jakby się żali,
A tam hen w górze lśniących gwiazd miljony mruga.
Nieskazitelnie biały śnieg iskrami pali
Tam, gdzie rozpłynie się zimnego światła smuga.

I biała cisza; wkoło cisza biała.
Zimową bajkę, cudów, dziwów pełną,
Prastara jodła ziemi powiadała
Ubrana śniegiem, jak strzępiastą wełną,
I bajką swoją do snu kołysała.

D. L. Gim. Żeńskie.

Staszek - Hugo - w Austrji.

Ciężko dyszała lokomotywa. Pociąg przeładowany narciarzami. W oknach uśmiechnięte twarze narciarzy — panuje ruch i zgiełk.

Przed oknem jednego z wagonów stoi nasz Hugoś i wzdycha. Oto koledzy harcerze jego jadą do Austrji na zawody. On biedny jechać nie może. Daje ostatnie rady, życzy powodzenia i zapewnia, że duchem będzie z nimi tam, w Austrji.

Gwizdek. Drgnął pierwszy wóz. Potem z kolei drugi... trzeci... Powoli nabierał pociąg rozpędu i wreszcie zginął z przed oczu Staszka.

Wolnym krokiem opuścił peron. Głęboko odetchnął, machnął ręką i poszedł do domu.

Księżyc i gwiazdy pięknie świeciły. Staszek zdjął z rezygnacją drugą skarpetkę, powiedział sobie, trudno i zapchał się pod koc.

— — — — — —

Pogoda wspaniała — Słońce rzuca swe promienie na śnieg i prowadzi zawziętą walkę z mrozem.

Pierwsi zawodnicy przybywają do mety z biegu patrolowego. Hugoś pozna-

Złote myśli.

Przed Bogiem nie trzeba wymowy.

J. Słowacki.

je w nich swych towarzyszy. Gratuluje im, ściska dłonie, śmieje się po swojemu.

A oni mówią do niego: „Ty jeszcze Hugoś musisz się spisać. Musisz zająć pierwsze miejsce w skokach, inaczej...“

„Dobrze, postaram się“ krótko rzucił Hugo.

Sędziowie wywołują zawodników. Skaczą oni pięknie i tylko narty błyszczą się w powietrzu. Pierwsza piątka skoki już ukończyła. Druga też. Pozostała trzecia piąteczka, w której znajduje się i Staszek.

„Gerard Rostek“, pada głos sędziego. — „Arx Hugoś. Jak gdyby prąd elektryczny przeszedł przez ciało Staszka. Zebrał się w sobie, zgrabnym uskokiem staje na torze i jazda... nabiera rozpędu... robi przysiad... i oto oderwały się narty od pomostu skoczni. Hugoś szybuje w powietrzu. Rękami zatacza równomierne kółka, narty trzyma równo. Pomału opada w dół. Zlądował. Jedzie jeszcze kawałek potem telemark i ...

Megafony ogłaszają: „najpiękniejszy i najdalszy skok druh Hugo. Skoczył 64 i pół metra“. Okrzyki, wiwaty na cześć mistrza.

— — — — — —

Pomału wstaje Staszek z podłogi trzyma się za bok, na który upadł przy skoku i rozgląda się dokoła.

Przed nim stoi matka i siostra i łzy roją.

„Co ci się śniło?“ A Hugoń żałosnym głosem mówi: „Mamo, to ja nie w Austrji?“

„Hanka“ Gim. Ośw.

Za naszą wolność i waszą.

W rocznicę powstania styczniowego.

Naród, którego duch nie ma heroizmu jako składnika dominującego — jest narodem bez przyszłości.

Po upadku powstania listopadowego w jesieni 1831 roku, naród wyczerpany długotrwałą wojną, bezsilny i bezbronny, stał się przedmiotem srogiego ucisku zaborców. Nie było takiej dziedziny życia państwowego, społecznego, religijnego, a nawet rodzinnego i osobistego, dokąd nie dotarłaby ręka rusyfikatów. Powoli naród chylił się ku całkowitej zagładzie... duch narodu podupadał. Jednakowoż idee wolnościowe i dążenie do wskrzeszenie niepodległości tliły w patrjotycznem społeczeństwie. Nie mogąc narazie wystąpić jawnie przeciw najeźdźcom, w konspiracyjnych spiskach przygotowywano nadzieję lepszego jutra.

Sprzyjała ku temu chwiejność rządu w decyzjach a przedewszystkiem niezaradność carów rosyjskich. W takim stanie półswobody począł się budzić w narodzie silny ruch patrjotyczny. Duszą tego ruchu była Litwa. Ruch ten wyrażał się w licznych manifestacjach, które były wyrazem, że naród żyje i nie przestaje dążyć do utraconej wolności i niepodległości.

W dnie, drogie każdemu Polakowi, gromadziły się tłumy i z pieśnią „Boże coś Polskę“ na ustach, za sztandarami i chorągwiami, płynęły ulicami miast. Obchody takie ożywiały miłość Ojczyzny, podnosiły ducha i potęgowały łączność społeczeństwa.

Żałobnym kirem okryła się cała Polska, a jęki i modły narodu odbiły się głośnem echem po całej Europie, gdy w Warszawie w 1861 roku wojsko rosyjskie dokonało mordu na bezbronnym tłumie.

Złote myśli.

Najtrwalsza piękność w pól drobnych kwiatach,
Największa wielkość w prostocie.

Kornel Ujejski.

Naród poprzysiągł zemstę. Chęć odwetu spotęgowały jeszcze demonstracje w całej Polsce, przez co uczucia połączyły się w jeden płomień żarliwej miłości Ojczyzny i egzaltacji religijno-patrjotycznej. W takiej atmosferze przygotowywała się „rewolucja" narodu i nadchodził dzień wybuchu.

Rząd przyszłego powstania miał się wyłonić z Komitetu Centralnego, to też zawczasu układano plany działania. Przygotowania wojenne szły bardzo powoli, a wobec czujności policji rosyjskiej trudny był zakup broni zagranicą.

Rząd rosyjski czując już blisko wybuch krateru narodowego, za podszeptem Wielopolskiego przeprowadził brankę-czyli pobór do wojska, pragnąc w ten sposób pozbawić Polski, ludzi zdolnych do noszenia broni

Jednakowoż poborowi ukryli się w lasach i w dniu 22 stycznia 1863 rozpoczęło się powstanie. Komitet Centralny wzywa naród do świętej walki.

„Do broni Narodzie Polski;
Litwy i Rusi, do broni, bo
godzina wspólnego wyzwolenia już wybiła, stary
miecz nasz wydobyty,
święty sztandar Orła, Pogoni
i Archanioła rozwinięty.

Rosja była zaskoczona tem wystąpieniem i sądziła, że napotka na ogromne masy powstańców. Niestety w szeregach powstańczych brakowało wodza, wodza któryby zespolił rozbite oddziały. Wytworzył się bowiem partyzancki charakter walki. Każdy dowódca oddziału, bardzo nikłego zwykle, walczył na własną rękę, Pomimo bohaterstwa i poświęcenia powstańców, bo jak mówi ich pieśń:

„Wśród chłodu i głodu w obronie narodu
My zawsze do boju gotowi,
Choć dłoń nam skostniała,
lecz serce w nas pała
I grozim rozpaczą wrogowi.
Świat głuchy na jęk!,
nie podał nam ręki
Już w pomoc nie wierzym niczyją,
Lecz z słowem modlitwy
idziemy do bitwy,
Wołając: „Jezusie, Maryjo!"

Pomimo pomocy „Białych", wysiłków „Rządu Narodowego" i interwencji państw europejskich, powstanie po dwóch miesiącach upadło. Powstanie styczniowe, był to zryw praojców naszych, bez nadziei w lepszą przyszłość Ojczyzny. Trafnie określa powstanie Sierakowski Dołęga:

„Te krwawe nasiona — one plon wydadzą, one biały kwiat dadzą, Polska żyje — więc dlatego życiem swem daje znak krwawy, aby o niej wiedziano że żyje!

Tak, był to krwawy znak, że Polska żyje i dąży do wolności.

Powstanie styczniowe to jak mówi Marszałek Piłsudski:

„czynnik moralnego wychowania tysięcy i tysięcy ludzi, którzy się urodzili po powstaniu."

Cześć i uwielbienie należy się więc naszym dziadom, że przyczynili się do czynnej walki i odzyskania wolności. Chociaż walkę tę przegrali, to jednak pozostawili krwawy siew dalszym pokoleniom.

„Literat" VI.b.

Zawieja na Kasprowym.

Fragment z trzydniowej wycieczki narciarskiej w Tatry hufca P. W. pod przewodnictwem Prof. Dr. Z. Krawczyńskiego.

MOTTO: Kto morowy
Na Kasprowy.

Oj, było to było. Tym razem ten był morowym, kto nie poszedł na Kasprowy. Głópstwo! Właśnie, lecz kto nie pojechał był okropną „fajtłapą". To była doskonała szkoła charakteru i wytrwania, woli. Iść wśród śnieżycy, zacisnąć zęby i drapać się po śliskich płytach. O, jak wtedy można było poznać charakter męski i stałość woli wszystkich. Czy każdy potrafi nagiąć swą wolę, aż do maksy-

malnego wysiłku, czy każdy potrafi „Valde velle" i czy każdy potrafi iść „Contra tonentem". Taka wycieczka należy do rzadkości. Jak poznać polskie góry, to nie tylko wtedy, gdy mają pogodne ciało i są wesołe, ale również i wtedy, gdy pokazują swoje „ja" i kiedy człowiek staje w obliczu żywiołu, jako marny pyłek.

Ale, któżby się spodziewał, że tak może być. Rano przywitało nas śliczne słońce, na czystym błękicie nieba.

Humory i apetyt wspaniały.

— Ale nam się uda wycieczka.

— Opaśmy się.

— Jaka śliczna pogoda.

Rzeczywiście pogoda była śliczna i nic nie wskazywało na to, że może nas spotkać taka niespodzianka. Jedno co nas martwiło to to, że w Zakopanem przez całą noc kapało z dachu —

— Odwilż —

Głupstwo. Odwilż tu na dole, ale nie na Kasprowym. — Przecież 2 metry śniegu.

Pocieszaliśmy jeden drugiego.

— Ale będzie „szus" ...

— Tak! „szus" ale w kosodrzewinę

— No, chyba ty..

— Akuratnie...

Tak spierając się zaszliśmy na Halę Goryczkową. Lekki odpoczynek, szklanka herbaty i kanapka.



Z Hali Goryczkowej na Kasprowy.

Stąd zaczyna się główne zdobywanie szczytu. Smarujemy narty smarem podchodowym. Już... pniemy się w górę. zakosami.

Raz, dwa — Raz, dwa —

Słońce gdzieś zaszło, skryło się. Zaczyna padać śnieg. Nic — idziemy dalej — wyżej. Nikomu nie przychodzi nawet na myśl, co za chwilę nastąpi. Wiatr zaciął silniej śniegiem w twarz...

—„Morowo" się idzie...

—„Klawo"...

Silniejszy pogwizd wiatru urwał dalsze słowa i porwał je hen ze sobą—

Śniegiem dmuchnął w oczy—

Nacisnąłem na uszy kominiarkę.

Popatrzyłem przed siebie—

Ciemno — zupełnie ciemno.

Tuż obok widzę jeszcze Fredka, następnego nie mogę rozpoznać.

Nie sądziłem, że—

Zerwał się szalony wiatr, wiatr — Wiatr? Nie! Wściekły wicher, huragan—

Raz po razu rzucał tumanami śniegu w oczy zasłaniał widok.

Złote myśli.

Człek podły zwykł dostrzegać cudze winy liczne,
Choćby tak były drobne, jako ziarno gorczyczne,
Lecz swoich własnych grzechów w słowie albo czynie
Nie widzi, choćby wielkie były jako dynie.

Mahabharata.

O krok nie widać—
Szum, świst, jakieś wściekłe porywy pyłu śniegowego rozszalałego żywiołu, igły lodu tnące po policzkach niemiłosiernie, wszystko tworzyło piekielne igrzysko, mrożące krew w żyłach.

Na moment wszystko ucichło, aby znów ze wzmożoną siłą ponowić swój atak. Na szczytach hulał wicher i szatańsko chichotał w skalnych grzebieniach — Ręce zupełnie zmarzły —

— Panowie — wracać — na szczycie szalona wichura. — Jakiś narciarz mignął koło nas jak duch i znikł w białej mgle, uleciał z gwizdem wiatru—

— Wracać?
Nie! nigdy — musimy dotrzeć do celu — Przychodzą mi na myśl słowa Emersana:

„Zwrócić twarz we właściwym kierunku
Iść śmiało nie dając się zniechęcić
ani odwieść żadnym przeszkodom—

A jednak... zgroza dokoła ... biała śmierć.

— A jeśli nie dojdziemy do schroniska — zbłądzimy...

— Ha... ha... zbłądzimy, ale nie z tym przewodnikiem, który nas prowadzi.
I tak długo walczyły dwa kontrasty.
Wokół szalała śnieżyca coraz zacieklej jakby nas chciała koniecznie zmusić do powrotu—ale myśmy zadrwili z niej..
Rąk i nóg zupełnie nie czułem.
Ale nie..

— Jeszcze chwila... jeszcze chwila a już będziemy pod szczytem...
Wicher szalał, rzucał tumanami śniegu przenikał do szpiku kości, mroził krew w żyłach ..

Stanęliśmy...

— Zdejmować narty...
Bezwładnemi palcami spuściłem wiązania i w jedną rękę chwyciłem narty, w drugą kijki...

— Jeszcze kilkadziesiąt minut.
Brnąc chwilę po pas w śniegu, a następnie ślizgając po stromych olodowiałych płytach skalnych wspierając się na nartach i kijkach, co chwilę upadając za silniejszym podmuchem wiatru szliśmy do celu... na szczyt.

— Już nie mogę iść... ale nie, muszę.
Nogi odmawiają posłuszeństwa, zmarznięte palce wypuszczają narty, wicher oddech tamuje...

— Jeszcze kilka zakosów... jeszcze kilka kroków...

— Nie, nie mogę..

— Jeszcze chwileczka..—
Tuż przedemną wynurzyła się jakaś szopa... Barak robotniczy pod czubą Kasprową.

— Wreszcie —

Ustawiamy narty przed szopą.

Wchodzimy. Dopiero teraz czuję, że na całej twarzy lód —

Kominiarka z włosami tworzyła jedną nierozerwalną całość —

Ale to nietylko ja — wszyscy wyglądają jak Eskimosi —

Ogólna radość — Przygnębienie i smutek minęły —

Wszyscy się śmieją —

Robimy kilka humorystycznych zdjęć

Po wypiciu po kilka szklanek kawy, jedziemy w dół.

Najwięcej odchodzą łuki alpejskie, lepsi popisują się „wolfgangami" i „jacobsenami"

Jedziemy w dół — to „grunt" —

Teraz gwiżdżemy na wichurę i śnieżycę.

Ani się nikt nie spostrzegł jak stanęliśmy na Hali Gąsienicowej.

Tu już wichura ustała.

Stąd puściliśmy się ślicznym „holwegiem" wśród lasu, w stronę Zakopanego.

A w Zakopanem, myślicie co?

— Deszcz! Najzwyklejszy w świecie deszcz!

Złote myśli.

Uczucie to skarb serca, pielęgnuj go w ciszy.
Wł. Syrokomla.

No, czy nie „morowa" wycieczka? Bo proszę: w jednym dniu mieć słońce, wicher, kurzawę śnieżną, a na dodatek deszcz, sikawicę

— Morowo, czy nie morowo?
— Morowo!

„Ananas 13"

Nam nie wolno...

Nam nie wolno trwać w rozterce,
ani też się cofać wstecz,
lecz urabiać myśl i serce —
to największa w życiu rzecz!

Trzeba imać się za młodu
ciężkiej pracy w miarę sił,
gdy się cząstką jest narodu,
który zawsze dzielny był!

Olejnikówna Stanisława
kl. VIII. Gim. Oświęcimskie.

Wycieczka do kopalni.

Ozwał się dzwonek sygnałowy. Winda powoli zaczęła spadać w dół. Momentalnie zrobiło się wewnątrz ciemno, a w powietrzu dał się odczuć zapach stęchlizny.

Winda mknęła coraz szybciej robiąc niekiedy gwałtowne skoki po kilka metrów, co czyniło wrażenie, że lina się urwała i lecimy w dół. Przy takich skokach tym, którzy jechali windą pierwszy raz robiło się cieplej i coś jakby żołądek, cisnęło się aż do gardła.

Jeszcze kilka niemiłych zgrzytów, kilka skoków i klatka windy cicho i lekko stanęła na dnie szybu. Spojrzałem za oddalającą się klatką, a po chwili na drugą z następną partją kolegów i nie wiem czemu doznałem dziwnie nieprzyjemnego uczucia: momentalnie przemknęło mi przez myśl porównanie tej klatki do szpiega, lub wysłannika jakiegoś sądu tajemnego, który niespodziewanie, a błyskawicznie, wyłania się z ciemności, kocim ruchem podejdzie, krzyknie po trzykroć „biada" i znów pogrąża się w mrokach.

Już byli wszyscy. Ruszyliśmy powoli naprzód. Dziwnie wyglądał ten korowód. Długi szereg naszych postaci, w ciemnych ochronnych

Złote myśli.

Kto nieustannie siedzi w ksiąg uczonych szkole
Ale w rozumie własnym nic mu się nie mieści,
Ten jest, jako owa łyżka kąpana w rosole,
Co nie zna smaku zupy, woni jej i treści.

Mahabharata.

płaszczach, z kapeluszami okrągłemi na głowach i górniczemi lampami w rękach, wpełzał zwolna w pogrążone w mrokach korytarze.

Wszędzie ponura martwota, jakby zaraza, tędy przeszła, lub jakaś zagłada miała dopiero runąć Lampki migotały szerząc dokoła swe mdłe światło Od czasu do czasu jakiś płomyk z sykiem w górę wystrzelił, aby po chwili znów powrócić do dawnej wielkości.

Korytarz zniżał się miejscami tak, że trzeba było głowy schylać, aby niemi nie potrącać. Minęliśmy kilka i stanęliśmy na skrzyżowaniu pokładów, jasno oświetlonem. Jeden z nich spadał dość znacznie w dół. Z tamtąd właśnie jechały wózki naładowane węglem, poruszane elektrycznością. Urządzenie to przypomina całkiem kolejkę linową. Po chwili ruszyliśmy dalej. Przeszliśmy znów kilka korytarzy, kilka zakrętów, aż wyszliśmi na obszerniejsze miejsce w krztałcie komory, do t. zw. przodka. W samym jego końcu stało dwóch ludzi w nędznych, obszarpanych ubraniach, z twarzami czarnemi od pyłu węglowego, zakładając t. zw. szram.

Przy pomocy wiertarki pędzonej powietrzem ścieśnionem. borują kilka dziur, gdzie zakładają naboje dynamitowe, poczem wszystko wysadzają. Spróbowaliśmy sami „ wiertać “, poczem zaczął się odwrót. Wracaliśmy tą samą drogą. Z kopalnią byliśmy już ogólnie zapoznani. Teraz mieliśmy wyjechać na wierzch, zobaczyć sortownię.

Na górze ze zdziwieniem przekonaliśmy się, że „ kolega Benek “, w czasie jazdy windą, zczerniał. Chyba nie ze strachu? Nie — to tylko jakiś figlarz, korzystając z ciemności, zabawił się w ducha kopalni i dorobił mu usmarowaną ręką, czarne wąsy i brodę — ba, nawet nos i policzki.

Weszliśmy do sortowni. Zaraz na wstępie rzuca się w oczy cały labirynt maszyn, kół, kółek, tłoków, pasów i transmisyj tworząc w głowie chos i przytłaczając swoją potęgą. Przeciętny śmiertelnik nie zorjentuje się w tym ukropie. Tu łamacze węgla, które druzgocą swemi żelaznemi szczękami bloki przywożone z dołu. Dalej maszyny, które sortują na kostkę, kostkę nr. 2, nr. 3, orzech, orzeszek, wreszcie miał. Wszystko jest tak urządzone, że węgiel posortowany zsypuje się wprost z sita, czy też siteczka, do wagonu a z tamtąd do Gdyni i .. . za morze.

Z. D.

Serce.

Oparty o poręcz na kładce górskiego potoku stał młodzian i tęsknem okiem spoglądał w dal. Wokoło rozciągała się wioska. Tu i ówdzie bieliły się domki wśród zieleni sadów, lub przydrożnych, wiekiem pochylonych wierzb. Tam znowu jakiś dom stary, omszała strzecha podparta drągami, zagrody gospodarskie z żórawiami studzien, a na górce, jakby pasterz otoczony trzodą kochających go owiec, stał maleńki kościółek. Łańcuch gór, których lasy poprzecinane mozaiką pól i łąk kwiecistych wyglądały jak bajeczny kobierzec, zamykał widnokrąg i zdawał się łączyć z kopułą bezchmurnego, błękitnego nieba, po którem w pełnym majestacie światła toczył się cud świata, słońce. A promienie jego złociły dorodne zboża i przeglądały się w drgającej toni potoku, jakby w łuskach srebrzanych.

Złote myśli.

Nikt na całym świecie, żaden najmędrszy filozof nie poradzi tak dobrze młodej osobie jak roztropna matka, bo żaden nie może tak jej znać i życzyć.
Klementyna Hoffmanowa.

Cisza przerywana była jedynie tylko śpiewem wolnych ptaków, które całą duszę potrafią przelać w pieśń, swe żale, swą radość, w dźwięku oddadzą Stwórcy i są szczęśliwe Cisza przerywana była jedynie tylko szumem trawy, co szeptała do kwiatów, a one schyliwszy różnobarwne główki słuchając odpowiadały dziwną melodją baśni.

Świat zdawał się być piękny.

On wsparty patrzał przed siebie. Pragnął czegoś, w czem zamknąłby swoje marzenia, swoje sny o potędze ducha. Czekał, że może z przyrody weźmie natchnienie, że pięknem go swojem otoczy, porwie, wyniesie na szczyty dążeń ludzkich, gdzie sława, sława... że stworzy cud. Tu znalazł tylko ukojenie. Natura koi stęsknione dusze, przykuwa pięknem, ożywia ducha, potęgi jednak nie daje. Tej trzeba szukać gdzieśindziej.

I popłynęły jego myśli z cichej górskiej wioski w świat daleki, nieznany, nawet ze snu. Wokoło widział tysiące ludzi płaczących, znędzniałych, głodnych Prawdy, a Prawda była wśród nich samych, a oni jej nie widzieli. W tem on zbliżył się do nich i podał im serce. Niebiańska radość rozjaśniła im lica i na skrzydłach śnieżnobiałych, jak ptaki, wolni, ulecieli w górę, nad szarzyznę życia mknąc ponad ziemią strudzoną, łzy, a On był na ich czele... sława.

I słońce chyliło się ku zachodowi.

Janowicz.

Dzieje Kółka literackiego.

Dzieje Kółka literackiego... Dzieje Kółka... Dzieje... powtarzam beznadziejnie.—Jakżeż mogę napisać cośkolwiek, kiedy nic a nic nie wiem, należę do niego dopiero trzeci rok — a co działo się w nim przez trzy lata poprzednie ?...

„Zajrzyj do kroniki“ — daje genjalną radę p. pr. Fik. Otwieram więc tę złotą księgę.

Na pierwszej stronie dużemi literami wypisane „Rok 1930/31“ a potem: Kółko literackie zostało założone 19 października 1930 r. z inicjatywy ówczesnej klasy 8-mej, członkami byli uczniowie klas wyższych. Zarząd tworzyli... i tu następuje cały szereg nazwisk, przy każdym staram się usilnie przypomnieć, jak też ta koleżanka kolega wyglądali czy.

Z trudnością przywodzę sobie przed oczy ich urocze i mniej urocze oblicza — no tak, ale one nic mi nie mówią o tem jakich właściciele pracowali, ale kronika powinna coś wiedzieć o tem. Obracam jeszcze duże kartki, a tam nie tylko nazwiska, nazwiska i jeszcze raz nazwiska — prezez, kierownik, zastępca kierownika, delegat czynny w pracach, zasłużony referent i t. d., i t. d.

Była-by mnie czarna rozpacz ogarnęła gdyby nie następna stronica z tytułem, podkreślonym czerwonymo łówkiem.

Praca.

Nareszcie dowiaduję się czegoś bardziej konkretnego. W pierwszym roku swego istnienia

---

Złote myśli.

Prawdziwie wielkim być nie jest to działać
Tam, gdzie do tego wielki powód skłania;
Lecz wielkomyślnie o źdźbło nawet walczyć,
Gdzie honor każe.

Hamlet Shakespeare.

Kółko było bardzo czynne. Co dwa tygodnie we czwartki odbywały się zebrania, na których wygłaszano referaty na najrozmaitsze tematy, a zebrania cieszyły się wielką popularnością.

Ponadto odbyło się kilka wycieczek, gdzie główną rolę odgrywała Sekcja fotograficzna.

Sekcja fotograficzna — zaraz, zaraz, coś mi się przypomina już całkiem dokładnie.

Pewnego dnia zobaczyłam na ścianie wielką tablicę ogłaszającą konkurs na najlepsze zdjęcie i poniżej przyczepioną, rzeczywiście ładną, fotografję, ale skarżącą się na samotność. Wisiało to może parę miesięcy i tak przyzwyczailiśmy się do tej ozdoby korytarza, że po zdjęciu tablicy ściana wydawała się dziwnie pusta.

Z wyjściem jednak z zakładu tej inicjatywy klasy 8-mej Kółko w roku następnym trochę podupadło, jak stwierdza kronika, praca szła kulawo, zebrania odbywały się raz w miesiącu i to jeszcze o zupełnym zaniku inicjatywy, bo naprzykład, w następnym roku, z nową zmianą zarządu, wstąpiły w Kółko nowe siły. Podwojono ilość zebrań, zaczęto wciągać do Kółka coraz więcej członków, zaczęto pisać referaty dla wszystkich bez wyjątku klas. Wówczas dowiedzieliśmy się oficjalnie o istnieniu Kółka, ale jeszcze nie o jego celach, tkwiło w nas przekonanie, że to coś dla tych, którzy są „tknięci poetycznie“.

Rok 1932 był rokiem przeniesienia się do nowego budynku i w związku z jego poświęceniem wydano jednodniówkę: „Na linji startu“. Do wypełnienia tejże przyczynili się członkowie Kółka literackiego. W tym samym roku ruszyła się Sekcja dramatyczna Kółka, która zresztą zawsze pracowała, ale w tym roku ze zdwojoną intenzywnością, owocami pracy były wystawione podczas tygodnia L. O. P. P. „Gazy w Grajdołku“, komedja napisana przez, również do Kółka należącą M. Zającównę. Wtedy też urządzono, z okazji rocznicy śmierci Wyspiańskiego, poranek, oświetlający zebranym uczniom i zaproszonym rodzicom jego działalność na polu literatury i malarstwa. Sprawozdanie z następnych lat to już i bez zaglądania do kroniki powinnam napisać, bo wtedy nasza klasa dostąpiła zaszczytu i została przyjęta w grono członków Kółka literackiego i w tedy przekonaliśmy się, że nie sami literaci tam należą, ale zwykli, najzwyklejsi śmiertelnicy którzy chcą się uczyć i pracować, korzystając z referatów, poruszających różne dziedziny wiedzy. Wtedy właśnie (co bynajmniej nie było zasługą naszej klasy, ani skutkiem przyjęcia jej do Kółka) wprowadzono „Żywy dziennik“.

Pierwszy urządzony był z okazji otwarcia świetlicy, którą w wielkiem zaufaniu do naszego Kółka i jego opiece poruczono.

Z powodu wielkiego zainteresowania postanowiono podobne „Żywe dzienniki“, urządzać częściej a nawet wnastępnym roku, aby niektóre lepsze artykuły nie zaginęły i, aby szersze rzesze publiczności mogły się z niemi zapoznać urządono „Gazetkę ścienną“, którą zatytułowano „Razem“. Ale nie długo cieszyła się powodzeniem — poszła w niepamięć i teraz jako jej pamiątka wisi w świetlicy wielka tablica z pożółkłym niece napisem :„Razem“

Poza tem praca w Kółku szła równo i stale naprzód. Co tydzień, we wtorek, odbywały się zebrania, jak z resztą i teraz, poprzedzane pięknym i pomysłowym afiszem kol. Hawryłowa. Referaty zbiorowe i pojedyncze, z dyskusją i bez dyskusji, a bardzo często z przeźroczami, następowały jedne po drugich; zdawało-by się, że przecież w końcu musi braknąć tematów, a jednak wprost przeciwnie, tematy wyłaniały się coraz oryginalniejsze i coraz bardziej interesujące. I Sekcja dramatyczna nie spała — organizowao wyjazdy do teatrów, krakowskiego, czy to katowickiego. Raz nawet Kółko urządziło ciekawą ankietę na temat „Lilli Wenedy“ wystawianej w Krakowie, której omówienie prowadzone na wesoło, było dla słuchaczów wspaniałą ucztą (godzina śmiechu to kiło szynki). Pozatem własnemi siłami urządzono „Wieczór Mickiewiczowski“ i „Śluby Panieńskie“, które wystawione aż 6 razy i to 3 razy po za granicami Oświęcimia, zyskały dużo uznania dla całej wogóle młodzieży oświęcimskiej. W tym zaś roku (rozumie się szkolnym, bo przecież nie kalendarzowym), praca troszeczkę z początku kulała, może dlatego, że straciliśmy znaczną część starego zarządu z prezesem włącznie, ale miejmy nadzieję, że rozwiniemy skrzydła i prześcigniemy wszystkich, nawet ową „p łną inicjatywy“ kl. 8-mą, która kółko założyła.

Z. P. (Klara) Gimn. Oświęcimskie.

Złote myśli

Człowiek niezawsze lubi mówić w przyjemnościach „już dosyć“, choć gdyby tę zdolność posiadł znalazł by największą przyjemność.

Janowicz.

Złote myśli.

Kiedy pierwszy raz wejdę w jakie zgromadzenie,
By poznać ludzi, zważam pierwsze ich wejrzenie:
Rozsądni naprzód spojrzą na mą nogę prawą,
Głupi naprzód na lewą, którą mam kulawą.

A. Mickiewicz.

Od Bałtyku do Morza Czarnego.

Ciąg dalszy

Jazda była cudowna. Słoneczko przygrzewało z dnia na dzień coraz mocniej, a my zaczęliśmy zamieniać się powoli w murzynów. Krajobraz również wyraźnie się zmieniał z wyżynnego na szerokie równiny, po których Prut, niby potężny wąż, toczył swe wody w szalonych skrętach.

Tak po trzydniowej jeździe przybyliśmy do miasteczka Stefanesti. Był to 8-my dzień od początku naszej wędrówki.

Chociaż samo miasteczko oddalone jest o 3 km. od Prutu, to jednak masa mieszkańców wyległa na brzeg rzęki, aby powitać sąsiadów z północy.

Namioty rozbito w mgnieniu oka w cztery wielkie rzędy, a uczestnicy w kajakowych ubraniach udali się do miasta na przyjęcie, pozostawiając obóz pod opieką wojska rumuńskiego. — Przyjmowano nas z prawdziwą radością.

Władze tamtejsze wydały wspaniałą kolację, która odbyła się pod gołem niebem w pięknym miejskim parku. Menu obejmowało oczywiście także i kurczaki.

Tamtejszy właściciel dużych winnic ofiarował spływowiczom tylko 100 l. tego Bacchusowego napoju. Nie pito go kieliszkami, ani nawet szklankami, lecz menażkami. Wino to było w prawdzie cieniutkie, młode, niemniej jednak dało się wszystkim we znaki, bo przecież pito



go zamiast wody, której począwszy od tej miejscowości zupełnie prawie niema. Trzeba bowiem wiedzieć, że ta część Rumunji, pozbawiona jest źródeł, tak, że miejscowa ludność używa wody do picia z rzeki, filtrując ją prymitywnie, albo też wcale nie. U nas taki eksperyment kosztowałby conajmniej mocne zaburzenia żołądkowe o ile nie sprowadziłby zakaźnej choroby.

Najgorzej to było z tym powrotem z kolacji do namiotów. Jedni szli 2 godz., 3 godz., a byli i tacy co odpoczywali po każdych 100m.

Na drugi dzień deszcz lał niemiłosiernie, a tu trzeba było pakować „manatki“. Jedni stali skurczeni we dwoje i trzęśli się z zimna, drudzy dziękowali Bogu, że jest deszcz, gdyż chłodny prysznic dobrze podobnie robi na „Katzenjammer“, inni zaś szukali pogubionych rzeczy.

Wreszcie ruszyliśmy w dalszą drogę.

Nasz „Pionier“, który trzymał się z wszystkich najlepiej, mijał teraz jeden kajak za drugim.

Koło południa desz przestał padać, chmu-

ry znikły, a nad głowami naszemi, na lazurowem niebie słońce wesoło uśmiechnięte pocieszało przemokłych, zziębniętych i nie wyspanych kajakowców.

Łodzie wlokły się powoli, pchane lekkim zefirkiem.

Jedni suszyli przemokły inwentarz kajakowy, drudzy zaś posnęli, czując ciepłe promienie słońca.

„Pionier" nasz tymczasem mijał swoich „krewniaków", którzy z żalem spoglądali na niego, zazdroszcząc mu, że tak świetnie się trzyma po wczorajszym dniu.

Żaliły się więc różne „Czajki, Krokodyle, Janosiki" i inne przysięgając mu, że już do końca spływu nie będą maczały „dzióbów" w winie.

„Pionier" zaś uśmiechał się tylko i sunął zwinnie dalej, aż wreszcie znalazł się sam jeden na przodzie.

Zwinęliśmy żagle, a kapitan dał wypoczynek załodze. Szybkość nasza zmalała do 6 km. na godzinę, gdyż tylko prąd rzeki niósł teraz nasz „statek".

Mieliśmy dużo czasu w tem „dolce farniente" przeleżeć bezczynnie.

Już wieczór się zbliżał, gdy zaczęły nas dochodzić pierwsze kajaki. — Zwartym szeregiem zbliżaliśmy się do miasteczka Bivolari, położonego na prawym brzegu Prutu. W dniu tym zrobiliśmy 65 km.

Po kolacji odbyła się krótka zabawa na placu przed namiotami. Przy dźwiękach rumuńskich walców i tang, skocznie hasając z dziewojami starej ziemi mołdawskiej, spędziliśmy wesoło tę resztę wieczoru.

Na zakończenie przyjęcia, odtańczył tamtejszy zespół młodzieży, narodowy taniec rumuński Hora! Hora!

Pięknie wyglądali tancerze w malowniczych strojach na tle zieleni, rozległego parku, wirując sprawnie i tworząc coraz to nowe obrazki taneczne.

Jak z jednej strony taniec ten jest bogaty w kompozycji figur, to z drugiej jednak, muzyka tematycznie skąpo go ilustruje. —

D. c. n. M. M.

Smierć wędrowca.

Samotnie chodził jako ptak wędrowny,
Po obcych krajach przez dwadzieścia lat —
Tłumiąc w swem sercu ogień niewymowny.

Nie pragnął złota ni kosztownych szat —
Kij tylko jeden był mu nieodzowny
I torba, w której chleb miał z wiejskich chat.

Wieczorem zawsze szedł do lasu skrycie,
By sobie spocząć na zielonym mchu —
W Boskie składając ręce swoje życie.

A gdy mu siły brakło już i tchu,
I gdy ucichło psów straszliwe wycie —
Przy szumie drzew układał sią do snu.

Lecz podczas kiedy ciało spoczywało,
Poleciał duch do swych ojczystych stron —
Gdzie serca tchnienie swój początek miało.

Gdy wczesnym rankiem zabił z wieży dzwon,
I gdy już ptactwo w górze zaśpiewało —
Powracał duch do swych cielesnych szpon...

Dzisiaj wieczorem skrył się znowu w lesie,
By podziękować za miniony dzień —
Lecz człowiek strzela — a Bóg kulę niesie!

Gdy bowiem słaby oparł się o pień,
Jak obłąkany szukał czegoś w lesie
Oczyma, w których był już śmierci cień...

Ostatnie z piersi swej wydobył słowa,
A potem... pośród cierni, drzew i róż —
Na pniu opadła siwa jego głowa...

Raz jeszcze serce przeszył ostry nóż,
Co go „tęsknotą“ zowie polska mowa —
A w chwilę później był bez ducha już...

„Ojczyzno moja! Żegnam Cię na wieki!“
Temi to słowy żegnał tułacz świat...
W tem, ponad drzewy wiatr zaszumiał lekki...

Jam stał — i patrząc na uwiędły kwiat,
Musiałem zrosić łzami me powieki,
I wspomnieć chwile przeszłych, dawnych lat...

J. W.

O sporcie w naszej „budzie“ słów kilkoro.

Sport, jako pojęcie tężyzny i krzepkości fizycznej, powinien sam przez się stanowić pozycję dodatnią w działalności i rozwoju każdej organizacji, szkoły, czy gimnazjum.

Tymczasem..., tymczasem w naszem gimnazjum, ułożył się spokojnie do snu zimowego i spoczywa, jakby na nie wiem jak zasłużonych, laurach.

A tak się ładnie zapowiadało. Po sukcesach naszych koleżanek w grach sportowych na zawodach w Żywcu co, (prawdę powiedziawszy) było też przedewszystkiem zasługą pani profesorki Telichowskiej; przyszła kolej na chłop-

ców. I oni również zwyciężyli w grach sportowych naszych starych rywali z Zakładu X. X. Salezjanów z którymi wygrana jest zawsze dla nas cenna, ze względu na wysoki poziom sportowy.

Spotkanie z gimnazjum Chrzanowskiem u nas (gry sportowe i ping - pong) z rewanżem w Chrzanowie, miały stanowić dalszy punkt programu sportowego.

Niestety, jak we wszystkiem, musi być jakieś „ale“. Niefortunny bo bez pozwolenia pana dyrektora „występ“ naszej piątki ping - pongowej w trójmeczu : Gimnazjum, Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży i „Tel- Chaj“, jakkolwiek pod względem sportowym dobry, (II miejsce w turnieju) spowodował zakaz ze strony dyrekcji urządzania wszelkich imprez sportowych.

Odwołanie zawodów z Chrzanowem a przedewszystkiem niemożność wzięcia udziału w turnieju o mistrzostwo ziemi oświęcimskiej, (który odbędzie się z końcem miesiąca), były dalszem następstwem nieszczęśliwego występu. Najdotkliwiej odczuli ten zakaz ci wszyscy, którzy w „cichości ducha“ marzyli i roili sny o tytułach i dyplomach mistrzowskich i pilnie przygotowywali się do zawodów.

Jakże srodze zostały zawiedzione ich nadzieje i wygórowane ambicje sportowe. Niektórzy jednak (optymiści) po pierwszych „przykrych dniach“ przygnębienia, smutku i rozczarowania, przyszli do przekonania, że jeszcze niema nic straconego i, że wobec zbliżających się mistrzostw ping - pongowych zmięknie serce pana dyrektora i pozwoli na udział w turnieju, czego, jak sądzę, wymaga honor gimnazjum po zaszczytnym wyniku w roku ubiegłym (III miejsce).

Bezśnieżna, ciepła „czarna zima“, która chwilami raczej sprawia wrażenie wiosny, podobnie jak w całej Polsce i u nas uniemożliwia uprawianie sportów zimowych a więc : jazdy na nartach i łyżwach, i jest być może, powodem ospałości na polu sportowem w naszej „budzie“.

W każdym razie obecne warunki pozwalają przypuszczać, że zima okaże się łaskawą dla narciarzy, o co również proszą Boga nasi fanatycy nart, z braci harcerskiej „in spe“ mistrzowie „Austrji“, „Zwardonia“. i „Podhala“, a czego im życzą wszyscy w gimnazjum.

Tadeusz Giżycki.
Gimn. Ośw.

Promocja na doktora.

Człowiek. gdy czeka, to się doczeka. W auli uniwersytetu odbędzie się jutro uroczysta promocja ich syna. W dniu jutrzejszym syn ich w szczęśliwej godzinie otrzyma tytuł doktora. Ot nie poszło to tak gładko, jak się komuś wydaje. Nameczyli się nagryźli się dość rodzice, zanim doczekali tej chwili. Rozdział pierwszy. Cztery klasy normalne. Leciwe, suche, chude nauczycielki straszydła na wróble. Drugi rozdział: gimnazjum. Wstępny egzamin. Dziesięć lat gimnazjum. Skaranie boskie z matematyką. Poprawki, single, korepetycje. Wreszcie trzeci i ostatni okres. Uniwersytet. X taks i jedno wychuchane

Złote myśli.

Błogosławieni, którzy w czasie gromów nie utracili równowagi ducha którym na widok spustoszeń i złomów—
Nie płynie z serca pieśń rozpaczy głucha.
I. Kasprowicz,

coloqfum. Kilka razy do roku synalek zagubił indeks. Dziesięć razy do roku zbierał podpisy profesorów. Kursy, skrypta, książki, ustawy, repetitorja, taksy taksy, taksy. Bez liku i bez końca. Aż Bóg się zlitował. Człowiek, gdy czeka, to się doczeka. W auli uniwersytetu odbędzie się jutro uroczysta promocja ich syna. W dniu jutrzejszym mamusin doktór i tatusin mecenas—otrzyma - - da Bóg w szczęśliwej godzinie, dyplom doktora.

W auli.

W pierwszym rzędzie siedzi mama pana doktora. Sztywna, nakrochmalona, dumna, szczęśliwa, wniebowzięta. Świeżo uczesana i ubrana odświętnie jakgdyby na ślub się wybierała, w starej zmodelizowanej sukni, przerobionej niedawno temu z okazji jakowejś uroczystości familijnej. Wysoki ,ciasny kołnieżyk z gazy. Pożołkły żabot na samym froncie. Staromodna brosza w środku. Karlsbadzkie rękawiczki na spracowanych rękach.

Tuż, obok mamy, siedzi ojciec pana doktora, w wyrośniętym, wyświechtanym smokingu. Poczciwy czcigodny smoking. Zeszyty w prześcieradło wisi całe lata w szafie i jeno od czasu do czasu, od uroczystości do uroczystości wyłazi na światło dzienne. Na plecach ma dwie jasne smugi, dwa razy rozszerzono już smoking, zdaje się, że krawiec zbyt mało materji założył po bokach, gdy przed 25 laty uszył ojcu ślubny smoking i dwie dziurki ma, jedną wypaloną od papierosa, drugą wygryzioną przez mole. Za ciasny jest smoking, za krótki, trzeszczy, pruje się w szwach, naftaliną go czuć, starością, lecz mimo wszystko prezentuje się w nim znakomicie. Wygląda, jak jakiś profesor.

Za to syn dziś z okazji promocji wdział nowiusieńki frak. Wprost od igły. Świetnie skrojony, cudowny frak, śnieżno biała koszula, bieluśki krawat, białe rękawiczki okulary, lakiery. Prawdziwy doktór ! W każdym calu doktór, na kilometr bije od niego doktór. Ojciec jest w siódmem niebie. Pełnym miłości wzrokiem obejmuje i pieści syna. Twarz jego się rozjaśnia. Znikają zmarszczki z zasępionego, pooranego troską czoła. Oczy jaśnieją jakimś osobliwym blaskiem szczęścia i zadowolenia. Nareszcie syn doktorem. Wnet będzie mecenasem. Wnet go własny syn będzie zastępywał w procesach, a nie jakiś tam obcy adwokat, wydrwi grosz i zdzierca, którego zapytaj która godzina, a policzy ci za konferencje.

* * *

W auli zebrały się kuzyneczki z nakarminowanymi buziakami i przypudrowanemi noskami i wszystkie ciocie w komplecie. Ciocia Hendla, Genendla, ciocia Hela, Rela, Tyńcia, Bińcia, Malcia, Salcia i ciocia Jetti z kwasem moczowym w lewej nodze. Aż z Buczacza przyjechała na promocję babcia w peruce. Zjawił się też wujcio Bercio. Przyszli krewni, sąsiedzi, znajomi, nieznajomi, proszeni goście, nieproszeni, świeżo upieczeni doktorzy i już czerstwi akademicy, zakuwający się koledzy i rozczochrane koleżanki w zabłoconych, wystrzępionych spódniczkach, z przesuniętym gdzieś na bok rozporkiem, zapiętym agrafką, obce narzeczone i znajome panny na wydaniu, wyglądające męża i prowadzące dokładną statystykę, kto już po doktoracie. Wszystko stawiło się na promocji. Tylko cioci Fanci nie widać. Co się stało? Nic, Broń Boże, Ciocia Fancia zbłądziła. Zaszła nieboraczka do innej sali na wykład prof. Szeli o wojnie peloponeskiej. Możecie sobie wyobrazić. Przeszło trzy kwadranse siedziała w ciasnej ławce ciocia Fania, i słuchała wykładu o peloponeskiej wojnie. Możecie sobie wyobrazić śmiech studentów i studentek, koleżanek cioci Fanci, nadzwyczajnej słuchaczki uniwersytetu. Studenci kładli się ze śmiechu, a jedna koleżanka wetknęła sobie całą chustkę do ust. Omal jej nie połknęła, omal się nie udusiła. A ciocia Fancia siedziała, jak na szpilkach, na wykładzie profesora, o wojnie peloponeskiej i złożywszy ręce pod ławką. zanosiła modły do Stwórcy, by ją wybawił z dantejskiego piekła.

Uwaga ! Profesorowie ? ! Wchodzą gęsiorem. Babcia przerażona. Serce jej wali jak młotem. Mama dostała wypieków. Tato zdenerwowany poprawia na sobie smoking. Sentymalna ciocia Salcia zalewa się łzami i wyciera nos

---

Złote myśli.

Mędrzec gorliwie zbiera jako żniwiaż kłosy
Na wszystkich polach świata—wielkich myśli głosy.
Mahabharata.

o rękawiczki. Wujaszek Bercio podnosi w górę jedynaka, którego przyprowadził na promocję i wskazując na pedela kroczącego na przedzie. z laską kapelmistrzowską, tłumaczy synalkowi, że to jest rektor uniwersytetu. Kuzyneczki oblizują spiczastemi językami suche wargi. Nowowylęgły doktor słucha jednym uchem co mu tam czytają i powtarza sobie cicho trzy słowa, które ma wygłosić - - by ich uchowaj Boże nie zapomniał Spond eo ac policeor.

* * *

Serdeczne gratulacje. Dużo szczęścia. Proszę przyjąć wyrazy współczucia i życzenia, z okazji. Powodzenia na nowej drodze życia. Dziękuję. Dziękuję. Obładowany dyplomami i kwiatami i pomadkami dziękuje doktor za życzenia i upominki. Ojciec pana doktora jest szczęśliwy. Nie odstępuje na krok swego syna i strzepuje mu raz, poraz pyłek z frakowego ubrania. Mama całuje się „z dubeltówki" fortissimo ze wszystkiemi ciociami i nawzajem i życzy: „Wkrótce u córki swej na zaręczynach" Wkrótce u syna swego po apelacyjnym egzaminie. Do zobaczenia się tylko na uroczystościach przy radosnych okazjach. U nas w domu. U nas. U nas. Amen.

Wójcio Dunio chce wyzyskać sytuację. Odwołuje na bok młodego doktora, i zasięga na miejscu porady prawnej, jakie ma wnieść zarzuty przeciw wekslowemu nakazowi zapłaty. Pan doktor odpowiada półgłębkiem, piąte przez dziesiąte, mruczy coś pod nosem, nareszcie przyrzeka wujkowi, że w domu zajrzy do paragrafów i jutro dokładnych udzieli mu informacyj. (powiedział co wiedział.!)

Przy drzwiach stoi cerber, czarnobrody pedel i składa życzenia doktorowi rodzicom, bliższej rodzinie, dalej gościom koleżankom i kolegom. Zagląda wszystkim do rąk. Od doktora dostał najsutszy napiwek (bo sam dzieli jeszcze ojcowskie pieniądze.! Ojciec dał mu złociaka, mrucząc pod nosem. Nastawia łapę, jakby mu się coś należało, jakgdyby dzięki niemu syn mój się promował. Mamusia wsunęła pedelowi kilka złotych do ręki i dodała mu słodkawy, sacharynowy uśmiech. Pomyślała sobie: Przecie ma jeszcze dzieci w gimnazjum, z taką osobistością nie warto zadzierać.

Pedel bierze na prawo i lewo, jak ślepy koń. Liczy zebrane pieniądze i potrząsa głową. Jest zadowolony. Dzięki Bogu.

J. S.
Gimn. Oświęcimskie.

Przygody szkolne Hansa Brudkenbooka.

Z powieści Tomasza Manna: Brudkenbrooks.

W klasie było cicho i wszyscy stali zgodnie, gdy do sali wszedł profesor doktor Mantelsack. On był opiekunem klasy a był zwyczaj żeby przed opiekunem klasy mieć respekt. Zamknął za sobą drzwi, pochylił się wyciągnął szyję, aby zobaczyć czy wszyscy stoją, powiesił kapelusz na wieszaku i szybko szedł ku katedrze, to podnosząc to schylając głowę. Tu stanął i wyglądał przez okno. Był on średniego wzrostu o rzadkich posiwiałych włosach, kędzierzawej brodzie i niebieskich oczach, które błyszczały z poza grubych okularów.

Nagle odwrócił się od okna, westchnął, spoglądnął na milczącą klasę, powiedział „tak tak!" i uśmiechnął się do kilku uczni. Było oczywiste, że jest w dobrym humorze. Klasa odetchnęła z całą ulgą. Wszystko bowiem zależało od humoru doktora Mantelsacka. Odczuwał się bowiem szczególną, bezgranicznie naiwną niesprawiedliwością a łaska jego była miła i lekkomyślna jak szczęście. Stale miał kilku ulubieńców, dwóch lub trzech, którym mówił „ty" i nazywał ich po imieniu a było im jak w raju. Mogli oni powiadać niestworzone rzeczy, mimoto było zawsze dobrze; po lekcji gawędził z nimi doktor Mantelsack na różne tematy.

Teraz, stojąc, założył doktor Mantelsack jedną nogę przed drugą i kartkował w notesie. Hanno Buddenbrock siedział pochylony i wykręcał pod stołem ręce. B, na literę B była kolej!

Wkrótce usłyszy swoje nazwisko i on wstanie i ani linijki nie powie i będzie skandal, głośna, straszna katastrofa. Sekundy pełne męki przedłużały się w nieskończoność, „Buddenbrok“ . . , teraz powie Buddenbrok . . ,

„Edgar“ ! rzekł doktor Mantelsack, zamknął notes, zostawiając w nim wskazujący palec i usiadł za katedrą jakby wszystko było w najlepszym porządku.

Co? Jak to było? Edgar . . . To był Lüders, ten gruby Lüders tam przy oknie. Nie, czy to było możliwe? Doktor Mantelsack był w tak dobrym humorze, że poprostu wywołał swego ulubieńca i wcale się nie troszczył o to, kto dziś według kolejności miał być pytany . . . Gruby Lüders wstał. Miał twarz jak mops i brunatne apatyczne oczy. Chociaż siedział w środku i wygodnie mógłby przeczytać, jednak był i do tego za leniwy. Czuł się zbyt pewnym w raju i odpowiedział poprostu : „Nie mogłem się wczoraj uczyć, spowodu bólu głowy“.

„O, ty mnie opuszczasz, Edgar?“ powiedział doktor Mantelsack zasmucony . . . „Nie chcesz mi wydeklamować wiersza o złotym wieku? Doprawdy szkoda, mój przyjacielu! Bolała cię głowa? Ale mnie się zdaje że mogłes mi to powiedzieć na początku lekcji, zanim cię wywołałem . . . Czy cię też onegdaj głowa nie bolała? Powinieneś się leczyć, Edgar, bo zachodzi obawa, że będziesz się z materjałem cofał.. Timm, proszę, niech go pan zastąpi!

Lüders usiadł. W tej chwili był przez wszystkich znienawidzony. Widziano wyraźnie, że profesor stracił humor, a Lüders już na następnej godzinie zostanie obrzucony przezwiskami . . . Timm wstał w jednej z tylnich ławek. Był to blondyn z cechami zewnętrznemi wieśniaka, w jasnobronzowej kurtce. Usta rozdziawił i przygotował śpiesznie otwartą książkę, patrząc prosto na profesora. Następnie spuścił głowę i zaczął czytać monotonnie, zacinając się jak dziecko przy elementarzu:

„Aurea prima sata est aetas“ . . .

Było jasne, że doktor Mantelsack pytał dziś bez porządku i wcale się nie troszczył o to, kto najdłużej nie był pytany. Nie było tak groźnem, że Hanno będzie wywołany, mogłoby się to tylko stać przez przypadek. Zamienił uśmiech z Kai i zaczął swe członki cośkolwiek wyprostowywać . . .

Nagle Timm zaciął się. Niewiadomo czy doktor Mantelsack nie rozumiał recytującego, czy chciał zażyć ruchu : dość, że opuścił katedrę, przeszedł przez klasę i stanął z swym Owidjuszem w ręku koło Timma, który niewidocznym ruchem schował książkę, z której czytał i stał zupełnie bezradny. Patrzył swemi niebieskimi oczyma na profesora, nie mogąc z siebie wydobyć ani jednej zgłoski.

„No Timm“ powiedział doktor Mantelsack.. Teraz nagle nie idzie? Timm zakłopotany patrzył na profesora, w końcu rzekł:

„Jestem taki zmieszany, gdy pan przy mnie stoi, panie doktorze.“ Doktor Mantelsack uśmiechnął się łagodnie i powiedział: „No, skup się pan i jedź pan dalej.“ Z tem wrócił za katedrę. I Timm skupił się. Wyciągnął książkę, otworzył ją, rozglądnął się po klasie, spuścił głowę i znalazłszy to miejsce, zaczął czytać dalej.

„Jestem zadowolony z odpowiedzi pana“ powiedział doktor Mantelsack, gdy Timm skończył.

„Pan się dobrze nauczył, o tem niema co mówić. Tylko odczuwa pan za bardzo uczucie rytmiczne, Timm. Elizje i afarezy pan dobrze rozumie, jednak pan czystym heksametrem właściwie nie deklamował. Mam wrażenie, jakoby się pan całego, jak prozy, na pamięć uczył ... Ale, jak powiedziałem, pan był pilny, pan uczynił co mógł, a ten, kto zawsze trudzi się, dążąc.. Może pan usiąść.“

Timm usiadł dumny i rozpromieniony, a doktor Mantelsack zapisał koło jego nazwiska wcale zadawalającą notę. Ale najciekawsze było to' że w tej chwili nietylko nauczyciel, lecz także Timm i jego sąsiedzi byli szczerze przekonani, że Timm jest naprawdę dobrym i pilnym uczniem, który w zupełności na dobrą notę zasłużył. Również Hanno Buddenbrook był tego zdania, chociaż mu się coś w duchu, temu przeciwstawiało ...

Znów czekał z niecierpliwością na nazwisko, które wkrótce zabrzmi . . . c. d. n.

Z j. niemieckiego przetłumaczył

A. Brokman kl. VIII b.

DZIAŁ ROZRYWEK UMYSŁOWYCH.

Rozwiązanie z Nr. 4

1. Szarada: Matura
2. Zadanie Rachunkowe: 28
3. Konikówka: Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi, tegoć nie wydrze nieprzyjaciel srogi, nie spali ogień, nie zabierze woda (Kochanowski)

UKŁADANKA.

pkt. 6.

W podany kwadrat wpisać liczby od 1 do 16 tak, aby w każdym kierunku suma ich wynosiła 34. Każda liczba może być tylko raz wpisana.

Od. Redakcji

Od lutego powiększyliśmy nasz numer o 4-ry strony druku, za czem idą zwiększone koszta nakładu. Mimo tego ceny numeru nie podnosimy.

Redakcja dziękuje koleżankom Kr. Dzióbkównie i Wł. Pogodównie za wydatną pomoc w urządzeniu udanej zabawy, oraz koledze M. Druciakowi za dekorację sali.

Koleżanki i Kolegów z Oświęcimia prosimy specjalnie, by byli łaskawi zapłacić za poprzednie wzięte numery, lub te nareszcie wrócić. Wyrażamy nadzieję, że następne numery rozejdą się wspaniale, a pieniądze należne otrzymamy zdumiewająco szybko.

Fotografja z zabawy jest do nabycia w Redakcii, a cena jej wynosi 0, 50 zł.

Ponownie prosimy, aby Koleżanki i Koledzy artykuły oddawali bezpośrednio do Redakcji, względnie do skrzynki redakcyjnej by uniknąć kłopotliwego zamieszania.

Na liczne zapytania odpowiadamy, że Redakcja rękopisów nie zwraca.

* * *

Odp. Redakcji

Ananas 13 - Ostrzyć sobie dowcip można **nieszkodliwie**, tylko na ludziach mądrych. Nadesłane artykuły będziemy starali się o ile możności umieścić w następnych numerach.

„Łza" Gimn.Ośw. — Nie umieścimy
Z. Stef. Gimn.Ośw. — Porusza kolega ten sam temat co J. P. tylko dlatego, aby uniknąć zbyt daleko posuniętej anologji nie umieścimy.

Ta..k; Artykuł „Kto tu zawinił" zupełnie dobry, ale temat nienadający się do szkolnego pisemka.

Funiek. Gimn.Ośw: „Zawcześnie kwiatku, zawcześnie" ...

D. L. Gimn. Żeńskie: „Wieczór zimowy" poszedł w zimie, a natomiast „Wieczór letni' w. . .

HUMOR

Z dziennikastwa

-- Co jest nowego w dzisiejszej gazecie?
— Data!

Ze szkoły

Profesor: „Co, czy taką trudność sprawia ci to pytanie?
Uczeń: „Pytanie nie, panie profesorze, ale odpowiedź".

Komitet Redakcyjny: Batkówna K. Chełczyński, Czerwonka, Dudzikówa. Drboút, Kogutówna, Lesiecka, Proskowiecka, Mokrosz, Schmidówna.

Gimn.Ośw: Redaktor. Zięba St.; Pasternakówna Olejnikówna St. Hruby.

Czcionkami Drukarni Zagłębia Krakowskiego w Jaworznie, ul. Sienkiewicza 348.